

Rozdział 1. Uspokajający smak melisy

Kolejny niepotrzebny mebel. Nie potrafiłam inaczej określić siebie w tym miejscu pełnym pięknych obrazów, wrażliwych ludzi, artystów, pasjonatów sztuki i pracowników, którzy każdego dnia dokładali swoich starań, aby to miejsce żyło i przynosiło zyski swojemu właścicielowi.

Gdy spoglądałam teraz na jeden z obrazów Józefa Chełmońskiego, nie byłam w stanie oderwać oczu od tęsknie wyciągniętej w powietrzu dłoni zwyczajnej, wiejskiej dziewczyny. Kim była? „*Nie wiem.*” Swoją dłonią chciała sięgnąć nieba, czy wyobrażała sobie, że obok niej stoi zmarły ukochany i czekała, aż jego duch dotknie jej ręki?

Bolesne ukłucie w sam środek serca kazało mi wrócić do rzeczywistości. To stało się zaledwie trzy miesiące temu. Odszedł, ale gdy zamykałam oczy, niemal wyczuwałam przy sobie jego obecność, zupełnie jakby jego dusza pozostała przy mnie. A jednak to nie jego dusza lecz smętne wspomnienia i cierpienie przygniatały mnie w tej chwili – tak jak wczorajszego dnia i jeszcze wcześniej... A przecież już prawie pogodziłam się z jego utratą.

– Kasiu! Czy mogłabyś zająć się drugą grupą? To wyjątkowa sytuacja! Odwróciłam się. Ujrzałam za sobą moją koleżankę, Aleksandrę Sułkowską, z którą pracowałam już prawie dwa miesiące. Ona zajmowała się oprowadzaniem zwiedzających, opowiadała o dziełach i artystach. A ja? Myślałam, zamiatałam i ustawiałam ekspozycje, ale nawet nie byłam w stanie przypomnieć sobie nazwisk artystów, o których uczyłam się kiedyś w szkole artystycznej. – Zajmij ich tym obrazem, a ja w tym czasie dokończę tamtą grupę.

– Dobrze. – Skinęłam lekko głową.

Do obszernego, wysokiego na cztery metry pomieszczenia, usytuowanego na planie prostokąta, weszła grupa dziesięciu osób. Na pierwszy rzut oka mogłam stwierdzić, że są to obcokrajowcy. Jedyne czym mogłam sobie w tej chwili pomóc to folder, w którym po angielsku zamieszczony był opis całej wystawy. Zabrałam z niewielkiego stolika dziesięć folderów i z wymuszonym uśmiechem na twarzy podeszłam do tych ludzi. Ich oczy ledwie zdążyły mnie dostrzec, zanim wtopiły się w barwy, kształty i światłocienie obrazów wybitnego, polskiego artysty.

– Proszę, proszę... – mówiłam i podawałam im moją przepustkę do milczenia. Co niby miałabym im opowiedzieć o „Dziewczynie z dzbanem”?

„Obraz ten odczytuję wyjątkowo osobiście, gdyż pod warstwą farby i niewątpliwego talentu artysty odczytuję w nim skrawki swojej duszy...”

– Świetnie to rozegrałaś! Sama nie wiedziałabym, co mam im powiedzieć! To Holendrzy! – Ola poprawiła na głowie gęstwinę swoich rudawych loczków, po czym zapięła guzik białej bluzki z kołnierzykiem, rozpinającej się jej na każdym kroku. – Muszę powiedzieć Solskiemu, żeby sprawił nam nowe mundurki. Te już są chyba dla nas za małe. – Przyjrzała mi się swoimi zielonymi oczyma i po chwili dodała:

– To znaczy: mnie sprawił! Bo ty, biedulko, to mizerna jesteś.

Tak, przy obfitych ale zgrabnych kształtach figury Olki, ja byłam niczym wieszak. Matka dwójki dzieci, pełna energii kobieta pracująca. Byłam jej przeciwieństwem, a jednak odnalazłyśmy wspólny język. Czasem się jej zwierzałam, lecz nie do końca byłam przekonana, czy aby nie popełniam w ten sposób życiowego błędu, będąc zbyt ufną wobec prawie obcej mi osoby. W tej chwili jednak mało mnie to obchodziło. Nadeszła godzina powrotu do nie mojego domu.

– Chodź na pizzę, jestem bardzo głodna – poprosiła mnie koleżanka. Nie potrafiłam jej odmówić, zwłaszcza że jeszcze nie miałam ochoty wracać do domu.

Szłyśmy sobie spacerkiem po ulicy pełnej samochodów i ludzi. Kocie łby niemiłosiernie wykręcały nasze stopy, obute w eleganckie buciki na obcasach. Było tak gorąco, że ciężko było uwierzyć w to, że to dopiero środek maja.

– Och! Ale śliczne! – powiedziałam zachwycona, gdy zatrzymałyśmy się przy sklepie z biżuterią. W niedawnej przeszłości nie pozwalałam sobie na noszenie takich klejnotów, mimo że było mnie na nie stać. Ale to było kiedyś. Z tamtego czasu pozostały mi tylko bursztynowe kolczyki od Leszka i naszyjnik, który do nich dokupiłam. Westchnęłam sentymentalnie.

– Nic się nie przejmuj, Moja Droga, kiedyś sobie na to uzbieramy – pocieszyła mnie Olka. – Ja może trochę później niż ty, bo mam dzieci i męża. Jakiś nowy ciuch by się przydał. Jeszcze dzieciom trzeba pomyśleć coś do szkoły kupić. Za tydzień idą do zerówki... – i zaczęła opowiadać o swoich pociechach. Lubiłam jej słuchać, bo jej

opowiadania choć trochę przybliżały mi klimat, jaki panuje w szczęśliwej rodzinie, gdzie są dzieci, żona i... mąż.

– To twoje dzieci są w tym samym wieku? – zagadnęłam, gdy ruszyliśmy dalej.

– Tak. To bliźnięta dwujajowe, Krzyś i Ryś. Dwa łobuzy! Ciężko ich utrzymać w jednym miejscu. – Westchnęła ciężko.

– A mąż ci nie pomaga?

– No, wiesz. Jak to faceci! – fuknęła z ironią. – Oni mają swój świat i swoje klocki. Coś tam niby sobie uzgadnialiśmy po ślubie, ale on się za bardzo nie stosuje. A jak u ciebie? Jest ktoś? Nie nosisz obrączki, ale pozory mogą mylić! – Uśmiechnęła się do mnie i popatrzyła spod wółprzymkniętych powiek. Najwyraźniej nie mogła w nocy zasnąć.

– Ja... nie mam nikogo – wyznałam z ciężkim sercem i z nie lada wstydem. Tak było za każdym razem, gdy ludzie pytali się mnie o takie rzeczy – byłam skrepowana, smutna i rozczarowana swoim losem przymusowej singielki.

– No i dobrze! Przynajmniej masz więcej czasu dla siebie! – pocieszyła mnie od razu. Zawsze umiała znaleźć dobrą stronę czegoś negatywnego. – Ja to już w ogóle dla siebie czasu nie mam. Ciągłe dom-praca, praca-dom... Teraz się jeszcze problemy z dziećmi zaczną. To takie łobuzy są!

– Myślę, że chcą zwrócić na siebie twoją uwagę. Ty przychodzisz z pracy i szukasz ciszy, a one szukają twojej uwagi – rzekłam, jakbym miała jakiegokolwiek pojęcie o dzieciach.

– Może coś w tym jest. – Zamyśliła się. – Trzeba je czymś zająć.

Dotarliśmy do niewielkiej pizzerii, mieszczącej się na rogu ulicy. Weszliśmy do ciemnego, dusznego pomieszczenia pełnego ludzi, pachnącego pieczonym ciastem, czosnkiem i śródziemnomorskimi przyprawami. Obydwie nie lubiłyśmy tłoku, dlatego poszukałyśmy sobie wyludnionego miejsca w głębi budynku. To była mała salka z dziwnym wprost wystrojem, w której mieściły się zaledwie dwa stoliki. Wystrój przypominał nieco wewnątrz trumny: ściany okryte brązowym, aksamitnym materiałem, jakieś suche, powyginane dziwacznie gałązki i mnóstwo małych wkładów do lampionów, świecących się niczym błędne ogniki. Atmosfera była w sumie romantyczna, dlatego znalazła tu schronienie również para zakochanych.

Zamówiłyśmy pizzę, a do tego sos czosnkowy.

– Musi ktoś być – upierała się Ola.

– Przykro mi, ale cię rozczaruję: nie ma nikogo – mówiłam niedowierzającej koleżance. Uśmiechnęła się do mnie jednostronnie. Musiałam jej to wyznać: – Kocham kogoś, ale to miłość nieszczęśliwa. Można powiedzieć, że wręcz tragiczna. Kosztuje mnie zbyt wiele.

Na wspomnienie tragicznych przeżyć nagle zaczęłam się czuć nieswojo w tej ciasnej klitce. Poczułam napięcie narastające w dolnym odcinku mojego kręgosłupa. Do tego te dręczące mnie ciągle wspomnienia – było ich zdecydowanie zbyt wiele i pojawiały się zbyt często.

– I do tego ciągle te koszmarne dolegliwości – westchnęłam poirytowana.

– To jest najgorsze. Człowiek się tylko męczy i chodzi taki zwieszony, że szok – odpowiedziała mi. Najwidoczniej próbowała wczuć się w moje położenie.

– Przepraszam cię na chwilkę. Muszę zażyć lekarstwo. – Wyciągnęłam z torebki, dobrze znane mi, opakowanie ze środkami uspakajającymi. Wysypałam z niego na dłoń dwa brązowe krążki. Przypomniało mi się, jak pewnego dnia Dariusz zabronił mi je brać... Urwałam to wspomnienie, a później połknęłam tabletki, jedną po drugiej.

– Nerwy, co?

– Skąd wiesz?

– Czasem łykam podobne – rzekła od tak, jakby chodziło o coś zwyczajnego. Zaskoczyła mnie tym. – Coś poważniejszego?

– Lęki, czasem depresja – wyznałam, bez zastanawiania się nad konsekwencją swoich słów. Miałam nadzieję, że Ola nie jest plotkarą. Wyglądała na osobę godną zaufania.

– Oj! Ja też to mam. – Popatrzyła na mnie ze zrozumieniem. – Ważne, żeby nie zamykać się z tym w domu i rozmawiać z ludźmi.

– Tak, masz rację – przyznałam, uspakajana przez wchłaniające się w mój krwioobieg tabletki.

– To jego wina? – zapytała o pana Ziębę.

– Nie, mam to od dziecka. – „*Choć przez niego trochę też. Ale bardziej z mojej winy. Przecież sama to wszystko sobie zrobiłam.*” Nie miałam zamiaru, aż tak szczegółowo, zwierzać się z minionych wydarzeń.

– Wiesz, w razie czego możesz się mi wygadać. Ja cię chętnie posłucham, choćby i teraz – napomknęła i zachęciła mnie tym do otworzenia się po raz kolejny. W końcu musiałam mieć jakąś

przyjaciółkę, pokrewną mi duszę, która czasem pomogłaby mi w zrozumieniu tego podłego świata.

Opowiedziałam jej o tym, jak Darek zjawiał się na chwilę i namieszał w moim życiu, pokochał najmocniej, jak się tylko da, a na koniec znienawidził bardziej niż najgorszego wroga.

– Oj, dziewczyno! Ale że on tego nie docenił?! – zdziwiła się Ola. – Przecież ty zrobiłaś to z miłości do niego. No, ale faceci są tacy prości. Musiał opatrnie cię zrozumieć. Typowe. – Zamyśliła się. – I jak on się nazywa?

– Dariusz... Zięba – wypowiedziałam z trudem.

– Hmm, nie znam nikogo takiego. – Przyjrzała mi się bacznie, jakby próbowała odnaleźć we mnie cienie tamtych uczuć. A może, skoro tak cię kochał, nadal coś do ciebie czuje?

– Nie. Nie wierzę w to – odparłam trzeźwo i logicznie.

– Moja Droga! Więcej nadziei! Myślę, że skoro tak za tobą szalał, to mu tak szybko nie przejdzie. Ty jesteś dość interesującą osobą, więc na pewno cię jeszcze nie zapomniał. Przecież minęło tylko niecałe trzy miesiące od waszego rozstania.

– Nie, raczej nie. – Odrzuciłam te brednie na bok. Spojrzałam na zegarek w telefonie. – Na mnie już czas. Dochodzi osiemnasta.

– Och! – Przestraszyła się, że czas tak szybko biegnie. – To ja też lecę.

Wyszłyśmy na ulicę, po czym każda z nas ruszyła w swoją stronę. Wiosna w pełni, a nade mną czarne chmury wspomnień. Od trzech miesięcy bez zmian, z jedną tylko różnicą: zmiana pracy i przeprowadzka. Małe Prado – galeria sztuki, której właścicielem był Leszek Solski – było spełnieniem artystycznych marzeń Leszka. Solski stworzył swoje małe królestwo sztuki, swoją przystań, i umieścił mnie w niej z nadzieją, że jakoś pomoże mi się to pozbierać po bolesnym rozstaniu z ukochanym. Próbowałam się dostosować, ale pogrążona w smutku, nie potrafiłam, tak jak inni jego pracownicy, zwinnie i z gracją opowiadać o – dobrze znanych mi zresztą – dziełach twórców sztuki dawnej i nowoczesnej.

W domu, to znaczy w pałacu Solskiego, mieszkałam razem z Jolą. Gdy patrzyłam na to, jak obydwójce darzą się wzajemną miłością, czułam się niczym piąte koło u wozu. Pomogli mi oboje i dzięki nim wyszłam obronną ręką z matni, w jaką się wpakowałam, gdy nagle zrezygnowałam ze zleceń dla moich byłych klientów. Kary były

wysokie, straciłam prawie wszystko, ale dzięki sprzedaży domu udało mi się zaoszczędzić pewną sumkę na życie i na odprawy dla moich pracowników. Mogłam również dzięki temu pomóc rodzicom.

Praca w Małym Prado sprawiała, że czułam, jakbym dostawała wypłatę prawie za darmo, co jeszcze bardziej ciążyło na moim sumieniu. Nie chciałam wykorzystywać dobroci Leszka.

Nie chciałam jeszcze tam wracać, ale gdzieś przecież trzeba było pójść. Ola wróciła po pracy do swojego męża i dzieci, a ja miałam w perspektywie samotnie spędzony wieczór. Zamknięta w pokoju, starająca się odwrócić uwagę od swojego wewnętrznego cierpienia, pogrążona w modlitwie... Egzystencja z dnia na dzień, bez celu.

Wróciłam. Weszłam po schodach na pierwsze piętro i zbliżyłam się do salonu, skąd dochodziły do mnie odgłosy rozmowy. Zastałam ich na grze w szachy. Obydwoje odmłodnieli dzięki odwzajemnionej miłości i wzajemnej trosce o siebie. Stałam przy drzwiach i dokładnie się im przyjrzałam. Jola miała na sobie prostą, ale gustowną sukienkę w kwiatowe wzory, a na głowie pięknie ufryzowane, krótkie blond włosy. Na jej twarzy dostrzegłam nawet dyskretny makijaż. Leszek, ubrany w białą koszulę z kołnierzykiem, błękitne jeansy i jasną marynarkę, w zakłopotaniu przeczesywał gęstwinę swoich siwiejących, ciemnych włosów. Byli bardzo ładną parą ludzi, dobiegających do sześćdziesiątki.

„*Powinni wziąć ślub.*” – pomyślałam odruchowo, a później przypomniałam sobie, że ja nigdy nie będę niczyją żoną. Posmutniałam. – O! Kasiu! Jesteś już! – Jola ucieszyła się na mój widok i od razu zerwała się, aby pobiec i podać mi obiad.

– Dzień dobry, nie przeszkadzajcie sobie! – Zatrzymałam ją rękoma w locie. – Sama sobie nałożę i zaraz pójde na górę.

– O nie! Dziś piątek i nie wymówisz się od partyjki ze swoim przyszywanym wujaszkiem! – oburzył się Leszek.

Wzruszyłam ramionami. Byłam kompletnie wykończona, lecz musiałam ulec.

– Zaraz przyjdę, tylko się przebiorę. – Postanowiłam bardzo długo się przebierać.

Leszek wiele opowiadał mi na temat przeszłości swojej szlacheckiej rodziny. Wymieniał przy tym same daty i imiona, których

nie sposób było spamiętać. Najbardziej jednak interesowały mnie opowiadania o jego niedawnej przeszłości.

Gdy był jeszcze młodym, dwudziestodwuletnim młodzieńcem, odziedziczył po babce wysoki spadek. Szybko znalazł sobie, równie zamożną jak on, małżonkę, która dała mu dwójkę pięknych dzieci. Jego żona i siedmioletni syn zginęli w wypadku samochodowym, gdy jechali na wczasy. On sam z nimi nie pojechał, bo w tym samym czasie zachorowała jego matka, która zmarła kilka dni po tym, jak dowiedziała się o śmierci synowej i wnuka. W ten sposób, w kilka dni stracił tych, których kochał najbardziej na świecie. Nigdy nie chciał ponownie się ożenić. Poświęcił się wychowywaniu drugiego syna, który od wielu lat mieszkał z rodziną na drugim końcu Polski.

Od śmierci żony i syna zaczął inwestować w sztukę. Pewnego dnia przejeżdżał przez nasze miasto i zobaczył pałacyk w bardzo złym stanie, opuszczony i osierocony tak jak on. Poczul się emocjonalnie związany z tym miejscem. *Obydwoje* mieli niezagojone rany serca i czarną przeszłość. Kupił więc pałac wraz z resztą posiadłości i postanowił odrestaurować. Dopiero tu poczul się dobrze. Poznał mnie i upewnił się rzekomo, że wolą jego prababki jest to, aby tu pozostał. Jego zdaniem ja byłam kolejnym wcieleniem jego prababci, dlatego też wielokrotnie pokazywał mi słynny obraz czarnowłosej piękności, dosiadającej białego konia.

Na wspomnienie jego przeszłości i z szacunku dla jego szlacheckich korzeni, zesłałam na dół do salonu, aby przegrać kolejną piątkową partię szachów...

Zupełnie nie wiem, po co otworzyłam oczy w sobotę rano. Jola i Leszek pojechali sobie gdzieś razem – zresztą jak zwykle w weekend – i zostałam sama. Mogłam leżeć do południa, ale fakt, że musiałam podlać kwiaty w oranżerii, zmusił mnie do wstania. Wstydem byłoby mieszkać na czyjejs łasce i doprowadzić jego dobytek do ruiny! Wstałam, zjadłam śniadanie i już miałam pójść do ogrodu, gdy nagle zadzwonił telefon. Moja komórka odzywała się tylko wtedy, gdy dzwoniła do mnie mama, Jola, Leszek lub Ola.

Na wyświetlaczu pojawiło się imię i nazwisko mojej powiernicy. Ulżyło mi, że to nie mama. Nie chciałabym się jej dziś tłumaczyć z powodu mojego markotnego głosu.

– Halo?

– Cześć Kasia! Mam dziś wolne, bo mój pojechał z dziećmi do teściowej. Wyskoczmy razem na pizzę albo na kawę?! Strasznie mi się nudzi! He, he! I aż nie mogę w to uwierzyć, ale jednak... To jak? Idziemy?! Wiesz, gdzie mieszkam! Wpadnij o dwunastej! Dobra?

– Cześć Olu. Dobrze – odpowiedziałam na jej prędką gadaninę.

– Do zobaczenia!

Odłożyłam telefon na kuchenny parapet i westchnęłam ciężko. Maj rozpieszczał piękną pogodą, rozkwitającą feerią barw i tłumem ludzi w soboty. Nie chciałam iść do kawiarni czy do jakiegokolwiek innego miejsca z chmarą osób w tle. Lecz nie potrafiłam odmówić Oli, bo była dla mnie zawsze taka dobra. Obydwie miałyśmy po trzydzieści jeden lat, ale to ona tryskała energią. Zazdrościłam jej udanego małżeństwa i rodziny. Wiedziałam, że już zawsze będę sama. Nie potrafiłam podnieść się po rozstaniu z Nim.

Poszłam wolnym krokiem w stronę oranżerii i – w tym samym co zwykle miejscu – przypomniałam sobie pewną scenę, w której brałam udział. Obnażony „kaloryfer” pana Zięby stanął mi przed oczyma jak żywy, a ja jak zwykle odwróciłam głowę w drugą stronę i pospieszyłam w kierunku budynek.

Godzinę później zmusiłam samą siebie do podjęcia kolejnego działania. Udałam się do swojego pokoju, aby ubrać na siebie coś ładnego. Ola zawsze nosiła takie śliczne sukienki. Ubrałam na siebie zwiewną, długą kreację w kolorze ecru, wyposażoną w krótki rękawek. Do tego założyłam czarny pasek i beżowe baleriny oraz mój ulubiony, słomkowy kapelusz.

– Lepiej już nie będzie – westchnęłam, gdy popatrzyłam na siebie w lustrze stojącym w moim nowym pokoju, a raczej tymczasowym lokum. Nie czułam się tutaj jak u siebie.

Wyszłam na ulicę i od razu skierowałam swoje kroki w kierunku docelowym. Po drodze analizowałam w myślach mapę miasta, która miała zaprowadzić mnie do kamienicy, gdzie mieszkała Ola. Nie spieszyłam się, bo i po co? Czy minuta w tę czy w drugą stronę mogła zmienić coś w moim życiu? Zresztą, zawsze gdy szliśmy gdzieś razem

na kawę czy na pizzę, to ja musiałam na nią czekać w umówionym miejscu, i to ona zawsze się spóźniała.

Raz tylko byłam w jej mieszkaniu, ale trafiłam tam bezbłędnie. Weszłam prosto z ulicy do chłodnego, obszernego korytarza starej kamienicy i odetchnęłam z błogością. Na zewnątrz było dla mnie stanowczo za ciepło. Stąpając po niskich schodkach, weszłam na półpiętro. Ola mieszkała na pierwszym, pod czwórką. Nie słyszałam żadnego zamieszania na korytarzu, co mogło oznaczać, że jeszcze nie wyszła ze swojego mieszkania, więc jeszcze bardziej zwolniłam kroku. Po minucie zatrzymałam się na wyświechtanej wycieraczce z napisem WELCOME HOME i nacisnęłam na dzwonek, którego melodyjka dała się słyszeć po drugiej stronie drzwi. Czekałam dobrą minutę, zanim mi otworzyła.

– A ja jak zwykle na ostatnią chwilę – rzekła rozbawiona, gdy stanęła w otwartych drzwiach mieszkania. W pośpiechu ubierała buty. Jak zwykle prezentowała się bardzo ładnie, ubrana w śliczną, wiosenną sukienkę i sandaalki. – Ten upał jest okropny, dlatego dziś idziemy na lody. Co ty na to? Mówiłaś kiedyś, że lubisz kawowe?

– Nie – stwierdziłam zaskoczona. – Raczej nie przepadam za nimi.

– Och, to pewnie Sylwia lubi kawowe, a ty...

– Miętowe, ale...

W tej chwili drzwi mieszkania naprzeciwko otworzyły się i obydwie usłyszałyśmy miły, męski głos.

– Dzień dobry! – odpowiedziała mu Ola.

Zamarłam, gdy do moich uszu dotarła znajom barwa męskiego głosu.

– Dzień dobry, sąsiedzie! Ale dziś upał – odpowiedziała mu.

Powoli odwróciłam głowę w jego stronę. Otworzył usta ze zdziwienia i zamarł. Dopiero po chwili zamknął drzwi. Poprawił włosy, wyprostował się i utkwiał we mnie swoje wielkie zielono-niebieskie oczy.

– Dzień dobry! – rzekł do mnie niepewnie i już nieco ciszej.

– Dzień dobry... – Ledwie usłyszałam swój głos. Powoli odwróciłam się w stronę koleżanki. Usłyszałam, że Darek ruszył po schodach w dół.

– A temu co się stało?! – zdziwiła się moja towarzyszka. – Zawsze taki pogadany, a teraz... Kasia, co ci jest?

– Chodźmy już – odparłam roztrzęsiona. Poczułam, że słabnę z nadmiaru emocji. To był kompletny szok! Nagle, nie wiadomo skąd, za

moimi plecami pojawił się cień mojej przeszłości i miałam ochotę za nim biec! – Chodźmy, bo trochę mi duszno.

– Już! To chyba przez ten upał – próbowała się domyślić.

Zatroskana Ola zrezygnowała z dalszych pytań i wyszła razem ze mną na ulicę. Przeszliśmy ładnych kilkanaście metrów, gdy nagle zapytała:

– Wy się znacie, prawda?

– Tak. To ten mężczyzna, o którym ci wczoraj wspominałam.

– O Boże! Jaki ten świat jest mały! – Z wrażenia zakryła usta dłonią, po czym odwróciła się za siebie. – Ha, ha! Nie uwierzysz!

– Co takiego? – przestraszyłam się nagłej zmiany tonu jej głosu.

– Idzie za nami! Ale nie odwracaj się! Zaraz się przekonamy czy to przypadek!

Szłam z duszą na ramieniu, a Ola prawiała dalej: – Ale miał minę! Był kompletnie zaskoczony! Ale nie wydał mi się jakiś niezadowolony tym spotkaniem. Raczej oniemiał, a gdy się odwróciłaś to popatrzył tak dziwnie... Poczekaj, sprawdzę, czy idzie.

Zerknęła przez ramię.

– I jak? – szepnęłam.

– Idzie, śledzi nas! – powiedziała podekscytowana.

I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby zwyczajnie szedł w tą samą stronę co my, ale gdy wszedł za nami do kawiarni i zajął stolik nieopodal, to zrozumiałam, że to nie przypadek.

– Czego on chce?! – szepnęłam do niej nerwowo, gdy usiadłam z profilem zwróconym w jego stronę.

– Aktualnie... – przysłuchiwała się rozmowie Darka i kelnerki. – zamówił ciastko i kawę – szepnęła.

„Jak zaraz nie wezmę czegoś na nerwy, to zemdleję. Boże, ratuj!”

Z pozornym spokojem i opanowaniem na twarzy sięgnęłam do mojej torebki po znajome pudełko, wypełnione pastylkami na uspokojenie.

– Aż tak? – zapytała, gdy ujrzała moje trzęsące się ręce. Podeszła do nas kelnerka, która wcześniej napisała zamówienia pana Zięby. Ola, jako jedyna przytomna z nas obu, powiedziała do niej: – Proszę lody waniliowe, a dla koleżanki z miętą i czekoladą... A do tego wodę mineralną, a dla mnie kawę – mówiła do niej i jednocześnie czytała z mojej twarzy. – Wodę prosimy na już!

– Dobrze, zaraz podam! – Miła kelnereczka uśmiechnęła się, po czym poszła wypełnić polecenie. Po drodze zagapiła się na Dariusza, który nie mógł oderwać ode mnie wzroku. Złapał mnie na spojrzeniu i uśmiechnął się nieznacznie, jakby chciał sprawdzić, czy może. Odwróciłam prędko oczy i utkwiłam wzrok w blacie stołu.

– Ale *namolniak!* – jęknęła Ola, która nie mogła wyjść z podziwu nad stopniem natrętnego zachowania młodego mężczyzny, który siedział dwa stoliki dalej.

– Nie wytrzymam, muszę do toalety. – Popędziłam w stronę drzwi do WC, które znajdowały się trzy metry od naszego stolika.

Brzuch bolał mnie jak zwykle, gdy się denerwowałam. Dziwne zachowanie pana Zięby kompletnie wyprowadziło mnie z równowagi. Podeszłam do kranu, aby nabrać do rąk trochę wody, którą popiłam tabletki na uspokojenie. Już dawno nie czułam takiego roztrzęsienia. W ubikacji spędziłam pięć minut, przez cały czas modliłam się o to, żeby już sobie poszedł.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po wyjściu zastałam go tam, gdzie uprzednio siedział. Od razu mnie dostrzegł. Odłożył gazetę, którą czytał, i skierował w moją stronę zatroskany wyraz twarzy. Powoli podeszłam do naszego stolika i zajęłam miejsce obok Aleksandry.

– Kasiu, dziwna sprawa... – rzekła do mnie tajemniczo, przyglądając się filiżance stojącej przede mną.

– Co takiego?

– Zamawiałam dla ciebie tylko wodę i lody, a kelnerka kazała ci przekazać, że ktoś zamówił dla ciebie melisę.

Przyjrzałam się zawartości filiżanki i zdziwiłam się równie mocno, co ona.

Miałam mieszane uczucia. Pod filiżanką znalazłam karteczkę.

– „Wyglądasz pięknie.” – Przeczytałam cicho i już wiedziałam, że to on.

Zerknęłam w jego stronę. Uśmiechnął się delikatnie, po czym spuścił wzrok.

– Albo z ciebie zakpił, albo okazał ci troskę – wypowiedziała na głos moje wątpliwości.

– Prowokuje mnie, ale nie wiem do czego. – W dłoniach wciąż trzymałam karteczkę zapisaną starannym, ręcznym pismem.

– Wstaje... chyba wychodzi – odparła po chwili.

Nie śmiałam na niego spojrzeć, bo bałam się, że wyczytam z jego twarzy kpinę lub szyderstwo. *„Co mogła oznaczać ta melisa?! Śmiał się z mojej nerwicy, czy okazywał mi troskę, bo dostrzegł, że jestem zdenerwowana? Tylko po co napisał, że wyglądam pięknie?!”*
– Dziwny facet, ale najwidoczniej jest tobą zainteresowany.

